

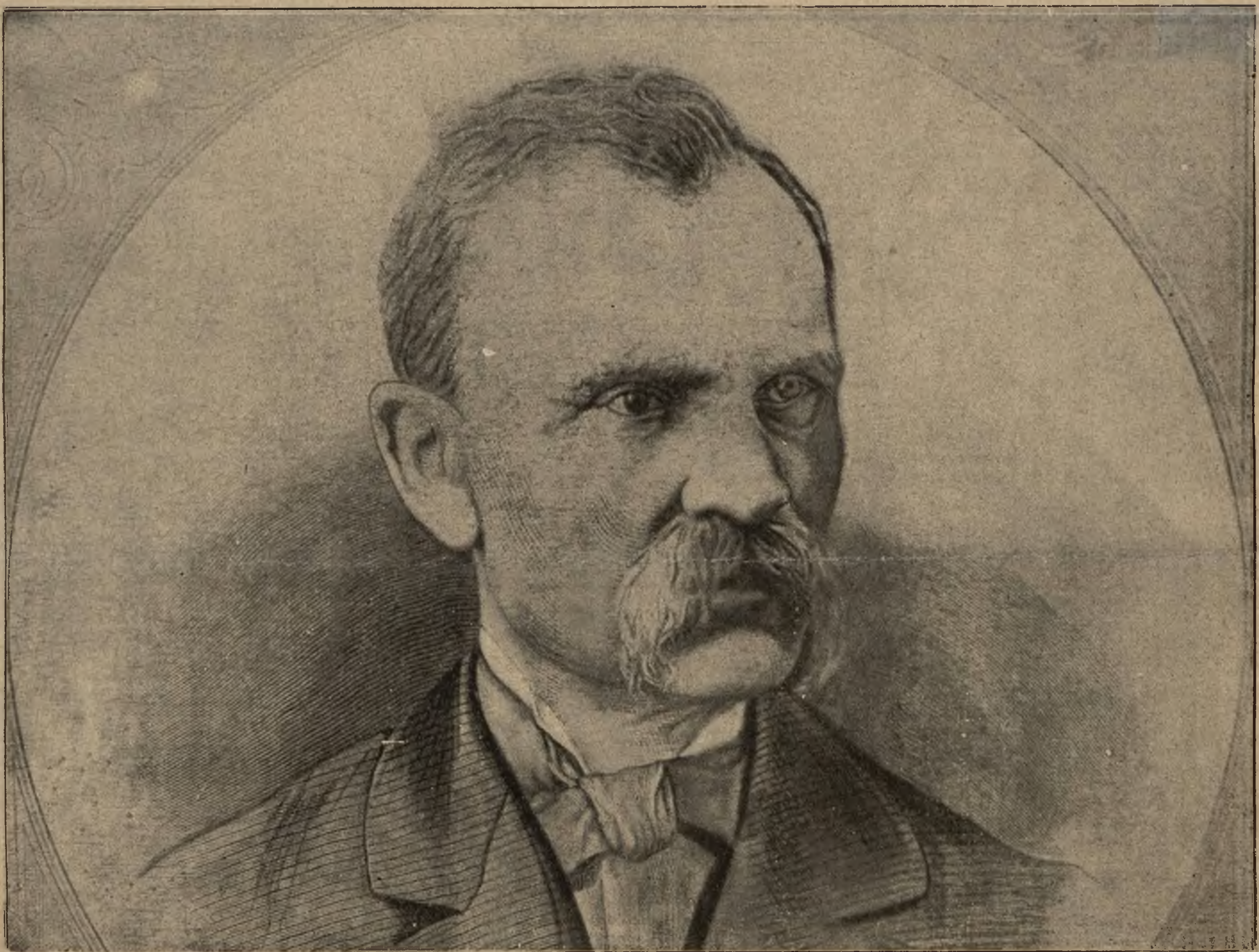
Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 23 stycznia 1915. Nr. 4.

Zgon T. T. Jeża.



Zgon T. T. Jeża.

Z Lozanny nadeszła smutna wieść, która w całej Polsce odezwie się żałobnem echem. Zmarł tam w 92 roku życia nestor polskich żołnierzy i polskich pisarzy, Zygmunt Miłkowski, znany w literaturze pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża.

Ze ś. p. Miłkowskim zeszedł do grobu żywy symbol naszych naczelnych dążeń narodowych. Początek jego politycznej działalności przypada na rok 1848 i odtąd nazwisko Miłkowskiego spotyka się wszędzie, gdzie myśl rodzi się i pracuje dla Niepodległej Polski. Działał orężem, żywem słowem i piórem, w kraju i na emigracyi, zawsze wierny przewodniej swej idei, której niezmordowanym szermierzem był zawsze, nawet wtedy, gdy inni poczynali wątpić.

Wielki ofiarnik narodu, pełen hartu ducha, męstwa i cnoty, obywatel zespolony jaknajściślej z tradycyami polskiemi, Zygmunt Miłkowski szedł zawsze w pierwszym szeregu tych, co na demokratyzacyi społeczeństwa budować chcieli lepszą przyszłość narodu. Rewolucyonista-ideowiec, patryota najgorętszy, demokrata najczerwieńszy, pisarz najbardziej uspołeczniony, wypisał przecież na sztandarze swoim jako hasło miłość Ojczyzny, i temu wzniosłemu wezwaniu pozostał wiernym przez cały długowieczny, niezmordowaną pracą wypełniony żywot, który imię jego przekazuje potomności w rzędzie najbardziej zasłużonych synów Polski porozbiorowej.

Przyszły historyk żywota i czynów Zygmunta Miłkowskiego będzie miał niemałą pracę ze zgromadzeniem materyałów do jego biografii, przyszły historyk literatury, niemniejszą, w określeniu jego stanowiska w literaturze XIX wieku jako jednego z najwybitniejszych, najbardziej poczytnych i najbardziej uspołecznionych powieściopisarzów polskich. Zasługa społeczna Miłkowskiego, wielkość jego wpływu na szerokie sfery czytelników w Polsce, a przedewszystkiem na młodzież, da się w pełni określić dopiero w perspektywie czasu, którą zasłania w obecnej chwili brzemienna wypadkami chwila dziejowa.

Wiekiem, tradycyami i poglądami należał Zygmunt Miłkowski do wczorajszego pokolenia — przeżył wszystkich współczesnych jak patryarcha kilku pokoleń, ale w narodzie pozostanie o nim pamięć jak o żywym duchu, który snuł do grobowej deski tradyce haseł Kościuszkowskich.

* * *

Zygmunt Miłkowski nrodził się w dniu 23 marca 1824 r. na Podolu we wsi Saracei z rodziny ziemiańskiej, której przodkowie walczyli pod sztandarami narodowymi. Do szkół początkowych uczęszczał w Niemirowie, uniwersyteckich kursów słuchał w Odessie, skąd udał się do Kijowa dla kontynuowania studyów w r. 1847. Tu zaskoczyły go wypadki rewolucyjne roku 1848. Przekradł się z kilku towarzyszami do Galicyi, spodziewając się wybuchu tam ruchu wolnościowego, gdy atoli powstanie do skutku nie przyszło, powędrował na Węgry, uczestniczył jako legionista w oblężeniu Aradu, w bitwach pod Solnokiem, Tapio-Biczke, Isaszeg, Nagy-Carlo, Komornem i t. d. Po upadku powstania wę-



Opieka nad rannymi w Krakowie: Personal krakowskiej filii „Czerwonego Krzyża".



Z teatru wojny: Austryacki karabin maszynowy na pozycyi.



Z teatru wojny: Sortowanie zdobyczy po bitwie pod Limanową.

gierskiego schronił się do Turcyi, a następnie do Anglii, gdzie po dniach niedoli i głodu, zbliżył się do kół demokracyi polskiej i począł próbować sił pisarskich w „Demokracie Polskim“. Z polecenia demokracyi podróżował następnie po Mołdawii, podczas wojny krymskiej przeszedł Serbię, Bułgaryę i osiadł na czas jakiś w Konstantynopolu, gdzie napisał pierwszą swoją polityczną broszurę „Udział Polaków w sprawie wschodniej“. W połowie roku 1858 powrócił do Paryża, wstąpił do „Centralizacyi“, a po wybuchu powstania w styczniu 1863 roku pospieszył z oddziałem polskim ochotników, sformowanym w Tulczy, na teren walki przez Rumunię. Po zwycięskiej potyczce pod Konstangalią oddziałek polski, liczący 250 ludzi, dowodzony przez Miłkowskiego, został rozbrojony i na tem się skończyła wyprawa. Miłkowski udał się najprzód do Bukaresztu, potem do Paryża, a stamtąd znowu do Galicyi się przekradł. Aresztowany we Lwowie, odstawiony następnie do Bawaryi, krzyżuje odtąd Miłkowski Europę w rozmaitych kierunkach. W Belgradzie, gdzie osiadł na czas dłuższy, zapoznał się z światem naukowym serbskim i studyować począł dzieje i etnografię Słowiańszczyzny południowej, co potem tak świetnie się odbiło na jego powieściach bałkańskich. W Belgradzie przebywał do r. 1866, poczem przeniosł się do Brukseli, a stamtąd do Lozanny, gdzie otwarł zakład naukowy. Z Lozanny przeniósł się do Genewy, a ostatnie lata życia spędził w Zurychu i Rapperswylu, gdzie jakiś czas pełnił obowiązki kontrolora Muzeum i skarbu narodowego. W r. 1900 na zaproszenie Polskiego Związku w Ameryce odbył podróż do Stanów Zjednoczonych,



Z teatru wojny: Austryackie moździerze 30½ cm. w drodze do Łowicza.





W pogotowiu: Ćwiczenia zmobilizowanej armii rumuńskiej.

która była jednym szeregiem tryumfów i owacyj dla zasłużonego patryoty i pisarza. Zgasł w Lozannie, dokąd się przeniósł na ostatnie dwa lata życia.

* * *

Zygmunt Miłkowski (Tomasz Jeż) pozostawił olbrzymi dorobek literacki. Złożyło się nań około 150 powieści, kilkanaście tomów rozpraw historycznych i politycznych i stosy artykułów i rozpraw, rozrzuconych po czasopismach. Pod względem płodności był on drugim w Polsce po Kraszewskim powieściopisarzem. Poczet powieści jego rozpoczęła w roku 1858 powieść „Wasyl Holub“. Z długiego szeregu dalszych największem powodzeniem cieszyły się „Historya o pradziadku i prawnuczku“, „Pierwsze Boże przykazanie“, „Wnuk chorążego“, „Handzia Zachornicka“. Z powieści osnutych na dziejach Słowiańszczyzny najcelniejszemi są „Uskoki“, obok których stoją „Narzeczona Haram-baszy“, „Herzog słowiański“, „Żarnica“, „O byt“. Osobny cykl stanowią powieści historyczne „Dersław z Rytwian“, „Dahijszczyzna“, „Rotułowice“, oraz kilka utworów z dziejów powstania 1863 roku.

Zasadnicze linie wizerunku literackiego Jeża bardzo trafnie określił w swej historyi literatury polskiej Piotr Chmielowski, który pisze między innemi: „Surowe pojęcie obowiązku, zachęta do pracy wytrwałej a sumiennej, gorące pragnienie sprawiedliwości zarówno dla jednostek i poszczególnych warstw, jak i dla całych narodów, trzeźwość myśli, powierzanie spraw życia rozumowi i sumieniu, nawiązywanie nici sympatycznych z lepszą tradycyą prze-



W pogotowiu: Rezerwiści rumuńscy na dworcu w Bukareszcie

szłości, oto uczucia i poglądy, jakie w najróżnorodniejszej formie ożywiają utwory Jerza".

Przyszedł wreszcie czas, w którym Jeż zamilkł jako pisarz. Wypowiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, wypadło przystąpić do obrachunku z życiem. I oto sędziwy 90 letni starzec, jako ostatnie posłanie do braci, ogłosił wspomnienia o wypadkach, w których brał udział. „Od kolebki przez życie" — oto tytuł najbardziej może interesującej opowieści Jeża. Pamiętnik ten był też ostatnim Jego darem dla narodu, który dziś właśnie, w tej strasznej chwili dziejowego przełomu, musi z tem większym żalem żegnać na wieki — niezłomnego bojownika Niepodległej Polski.

W pogotowiu.

Wojna obecna, nazywana przez jednych europejską, przez drugich nawet światową, toczy się właściwie pomiędzy mocarstwami tak zwanego trójprzymierza i trójporozumienia. Za jedną i drugą stroną oświadczyły się przecież rozmaite mniejsze i większe państwa, tak, że właściwie cała Europa stanęła pod bronią.

Tu i ówdzie pozostały tylko kraje neutralne, zmuszone do tego względami politycznymi lub swem geograficznem położeniem.

W pierwszym więc rzędzie neutralność swą ogłosiły Włochy,

Pozatem neutralną jest Holandya, Szwajcarya, Hiszpania i państwa skandynawskie, na Bałkanie zaś Grecya, Bułgarya i Rumunia.

Zwłaszcza ta ostatnia, geograficznem położeniem swem zmuszoną jest do pilnego strzeżenia swych granic i przestrzegania neutralności. Zbyt jest słabą, by na własną rękę mogła o sobie decydować, natomiast, jako sojusznik, może mieć bardzo wielkie znaczenie. Nic też dziwnego, że o jej względy zabiegają się obie strony walczące, ona przecież czeka, ale z bronią u nogi, to jest gotowa siłą odeprzeć zakusy wschodniego sąsiada, gdyby przypadkiem zechciał przemocą naruszyć jej granice.

W tym celu ogłoszono w całym kraju ogólną mobilizacyę, i przeprowadzono ją w krótkim czasie. W obecnej chwili półmilionowa wyćwiczona armia strzeże neutralności kraju i całości jego granic.



Z teatru wojny: Niemiecki lazaret w kościele.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

27

W chwili gdy młody człowiek ujrzawszy ich, chciał podążyć na ich spotkanie, rozległy się donośne dźwięki trąby automobilowej.

— To Frymcoock — zawołał radośnie Jerzy — to Frymcoock! wpadł na dobrą myśl i pospieszył drogą leśną automobilem do nas. Biegnę mu powiedzieć, aby nas nie szukał dalej. Podczas gdy młody człowiek pobiegł przez las do głównej drogi, Pitcher ułożył miss Albertę na wzgórku, pokrytym gęstym mchem.

Pod orzeźwiającem wrażeniem kompresów zimnej wody, przykładanych na głowę, młoda dziewczyna odzyskała przytomność. Spojrzenie jej pierwsze spotkało wlepione w nią miłośnie niespokojne oczy Roberta. Słaby uśmiech zawitał na jej pobladłych ustach, ale na twarzy pojawił się już dawny, lekki rumieniec i pulsa na skroniach biły normalnym tempem.

Umieszczono ją wygodnie w automobilu, sprowadzonym przez lorda Frymcoocka i puszczono się wolno w powrotną drogę do willi.

Wyjaśnienia.

Miss Alberta, oprócz lekkiego zatrucia gazami, doznała więcej przerażenia, niż bolu.

Troskliwe starania wszystkich mieszkańców willi, a szczególniej obecność Roberta, który krok na krok od niej nie ustępował, powróciły jej szybko utracone siły.

Z tych nadzwyczajnych wzruszeń i przejść pozostała jej tylko bladość twarzy i lekkie rany z oparzenia, które wkrótce zniknąć miały bez śladu.

Tego wieczora jeszcze mogła wstać i ubrać się przy pomocy wiernej Cherify i zejść do sali jadalnej.

Po spożyciu improwizowanego posiłku, całe towarzystwo zgromadziło się w tym samym pokoju, który był świadkiem interesującego opowiadania młodego inżyniera.

— Dzisiaj ja znowu opowiadać będę — odezwała się wesoło miss Alberta — o moich przygodach z Wampirami. Nie będą one tak urozmaicone i wstrząsające jak twoje, Robercie, ale jestem przekonana pomimo to, że wzbudzą w was zainteresowanie.

Słowa te przyjęto z zadowoleniem; młoda dziewczyna, powodowana rodzajem kokieteryi, nie wyjawiła dotąd nikomu, nawet Robertowi szczegółów swojego uwięzienia u Wampirów.

— Spałam już mniejwięcej od godziny — zaczęła — i umysł mój był jeszcze przepełniony wizyami oryginalnych mieszkańców Marsa, kiedy zapadłam w dziwne marzenie. Sniło mi się, że te skrzydlate potwory z szklanej wieży rzuciły się na mnie, tak, jak na Roberta, w chwili kiedy sądzili, że nie godnie ich zdradził. Ciężar jednego Wampira ugniatał nieznośnie piersi i uczułam się pochwycona w miacki miękkie i elastyczne, jak węże. Przekonałam się wkrótce, że to nie był sen, tylko rzeczywistość.

Otworzyłam oczy w chwili, kiedy unosili mnie z łóżka; wtedy to zaczęłam rozpaczliwie wołać ratunku.

Nie pojmuję doprawdy, że nie oszalałam z trwogi i przestrachu. I może byłoby się to stało, gdybym przez twoje opowiadanie, Robercie, nie była uprzedzona! W jednej chwili zoryentowałam się w sytuacyi, wiedziałam, że mam do czynienia z Wampirami. Tak jest! nie myliłam się! Zostałam porwana przez te okropne, niewidzialne istoty. Myśl ta zajaśniała w umyśle moim w całej grozie i prawdzie. Wtedy również przeszyła mnie pewność, że to już koniec ostateczny, że jestem na zawsze zgubiona... Krzyknęłam raz jeszcze rozpaczliwie. Krzyk ten musiał dojść do was.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund; później już wołać nie mogłam, szalona szybkość, z jaką zostałam pochwycona i wleczona, tamowała mi oddech.

Wrażenie, jakie odczuwałam, było przerażające. Ohydne dotknięcie tych lepkich palców naokoło mojego ramienia, nóg i szyi, spowodowało zawrót głowy i mdłości.

W chwili, gdy wyrwana brutalnie z łóżka, ujrzałam się zawieszoną bez widocznej podpory nad terasami willi, instyktownie zamknęłam oczy. Kiedy w minutę później otworzyłam, niesiona byłam w szalonym, zawrotnym pędzie, ponad wierzchołkami drzew lasu, pod niebem, pokrytem ciężkiemi, czarnemi chmurami.

Dostałam znowu silnego zawrotu głowy, a serce w piersiach bić prawie przestało. Umierałam z przerażenia, prześladowana myślą okropną, że Wampiry rzucą mnie do morza lub do jakiej ciemnej przepaści.

Zemdlałam, i nie wiem jak długo trwać mogło to omdlenie. Kiedy powróciłam do przytomności, niesiona jeszcze ciągle byłam na niewidzialnych skrzydłach Wampirów.

Trochę uspokojenia wstąpiło we mnie. Skoro do tej pory Wampirzy nie rzucili mnie jeszcze do morza, widocznie nie mieli tego zamiaru. Spostrzegłam, że lot ich stawał się cięższy i wolniejszy. Byli już widocznie zmęczeni moim ciężarem. Wkrótce przekonałam się o tem. Lepkie kleszcze, zaciskające się dotąd mocno naokoło mojego ciała, rozluźniły się. Zamknęłam oczy przekonana, że teraz już niepewno upuszczona zostanę w przepaść, rozciągającą się pod mojemi stopami. Ale myliłam się; prawie natychmiast znowu pochwycona zostałam w uścisk żelazny. Tak było kilkakrotnie; zrozumiałam, że potwory wyczerpane, zmieniali się.

Lecieli teraz dosyć wolno, mogłam przypatrzeć się okolicy, którą rozpoznawałam doskonale. Zapytywałam się z trwogą, co też ze mną uczynić zamierzają, kiedy zaczęliśmy opadać w kierunku ruin, gdzie odnaleźliście mnie.

Od wschodu niebo już różowiło się bladem światłem.

Wampiry włokły mnie do ruin, aby mnie tam zabić i pożreć spokojnie. Przypomnienie miseczek napełnionych krwią wstrząsnęło mną okropnym dreszczem.

Upuścili mnie na ziemię dosyć łagodnie, ale nie wypuszczając z objęć. Kiedy mnie pchali do wnętrza jaskini, przerażona, obłędnie krzyczeć zaczęłam; ale głos mój zginął w tych długich, ciemnych korytarzach, a oprawcy moi, widocznie podrażnieni moim uporem, wciągnęli mnie do ruin z brutalną wściekłością.

Tam dopiero puścili mnie; z uczuciem niewysłowionej ulgi odzyskałam wolność ruchu. Nie możecie sobie wyobrazić okropnego wstrętu, jakiego doznałam w zetknięciu się z uściskiem tych ohydnych istot. Zdaje mi się, że węże, gdyby miały ciało ogrzane ciepłą krwią, nie byłyby dla nas tak wstrętne i odpychające jak te skrzydlate potwory.

Ku wielkiemu mojemu zdumieniu, pozostawili mnie w spokoju. Usiadłam na kamieniu, oczekując lada chwila śmierci. Ale ta chwila strasznego oczekiwania nie nadchodziła. Przy blasku, przedzierającym się przez szczelinę w skale, mogłam dostrzedz, że podziemie było puste; mogłam przypuszczać, że jestem samą, bo żaden szmer nie przerywał ciszy, a jednak czułam wstrętną obecność potworów wokoło siebie.

Rozzuchwalona tą ciszą, powstałam i skierowałam się wolno ku otworowi, widniejącemu w dali, ale zaledwie uszłam kilka kroków, kiedy poczułam się silnie pochwyconą za rękę i tak ściśnięta brutalnie, że łzy bolu zwilżyły mi powieki.

Było to ostrzeżenie; nie chciano uczynić mi nic złego, przynajmniej na razie, ale karano natychmiast wszelkie usiłowania ucieczki. Zrozumiałam to i starałam się do tego zastosować.

Godziny upływały w okropnem oczekiwaniu, a jednak w końcu uległam zmęczeniu i zasnęłam, wsparta ramieniem o złam skały.

Obudził mnie huk przeraźliwy, który w pierwszej chwili nabawił mnie lęku, lecz lęk ten zamienił się wkrótce w radość.

Byłam pewna, że przybywacie na mój ratunek.

Poznałam głos pana Jerzego, i ujrzałam przy blasku latarni wasze oddalone sylwetki.

Wtedy to na cały głos wołać zaczęłam, chcąc wam dać znać tym sposobem miejsce, gdzie się znajduję.

Wołania moje i strzały wywołały wielki popłoch pośród Wampirów; z ciężkiem biciem skrzydeł biegali nieradnie po jaskini, wydając okrzyki gniewu i przerażenia.

Uznałam tę chwilę najstosowniejszą do ucieczki.

Rzuciłam się naprzód i już dobiegłam do wyjścia, gdzie już was nie było, kiedy uczułam się znowu pochwyconą i brutalnie wepchniętą do wnętrza podziemia.

Wtedy to nagle uczułam pod nogą przedmiot jakiś nieduży, czworograniasty i podniosłam go. Było to pudełko metalowe, pełne woskowych zapałek.

— To Zaruk je upuścił, podając latarnię Ralfowi — objaśnił Robert — Rozpaczał długo za tą zgubą.

— Wybawiła mnie ona z niebezpieczeństwa — mówiła dalej miss Alberta — bo wówczas przyszła mi szalona myśl podpalenia stosu liści i suchych gałęzi, znajdujących się w jednym kącie pieczary. Zerwałam się ze skały, na której usiadłam i podbiegłam do tego stosu. Przypuszczałam, że oślepieni ogniem i dymem, Wampiry rozpierzchną się, a ja będę mogła skorzystać z ich zamieszania. Wolałam sama udusić się, jak znosić dłużej tę dręczącą sytuacyę; a zresztą, pewność, że znajdujecie się tak blisko mnie, dodawała mi odwagi. Sądzę, że gdyby nie to, byłabym z rezygnacyą czekała końca.

Chciałam już wypełnić mój ryzykowny zamiar, kiedy wydarzył się nagle dziwny fenomen.

Zapewne pod wpływem nadciągającej burzy, ciała Wampirów stawały się dla mnie prawie widzialne, tak, jak gdyby potarte po wierzchu lekko fosforem.

Robert mi już raz tłumaczył, że ciała bogate w fosfor są bardzo wrażliwe na wpływ elektryczności, wyładowującej się podczas burzy. W noce burzliwe fenomen ten często jest widzialny dla marynarzy, wówczas bowiem niektóre ryby i skorupiaki błyszczą zdaleka, na podobieństwo świetlików.

Mózg człowieka na równi ze zwierzętami morskiemi posiada pokaźną ilość fosforu. Wampiry więc, u których mózg jest tak bogato rozwinięty, podlegają temu wpływowi jeszcze w wyższym stopniu.

Opanowałam prędko pierwsze wrażenie, wywołane tym ciekawym fenomenem i starając się robić jaknajmniej szelestu, nagromadziłam u moich stóp stos suchych liści i bez namysłu podpaliłam.

Z zadziwiającą szybkością wzniósł się wielki płomień, napełniając całe podziemie gęstymi kłębami dymu. Skoczyłam do wyjścia, ale w chwili gdy już dobiegałam uszczęśliwiona do niego, rozległ się huk stłumiony i nagle ujrzałam się otoczona ciemnością, bez nadziei dostania się do światła i powietrza. To pan Pitcher zatarasował przejście zsuniętym blokiem, nie zdając sobie sprawy, że niszczy ostatnią moją nadzieję ratunku.

Na te słowa Ralf Pitcher zarumienił się silnie, jak uczeń przyłapany na psocie.

— Nie mam o to żalu do pana — pospieszyła zapewnić miss Alberta, uśmiechając się łagodnie do przyrodnika — działał pan przecież w najlepszych zamiarach, nie mógł pan wiedzieć, że rozniecitam ogień w jaskini. Ale świadomość ta straszna zgnębiła mnie do reszty! Zostałam na zawsze uwięziona z Wampirami w tem gorejącem piekle. Możecie sobie wyobrazić, jakie okropne chwile przeżyłam!

Napół uduszone dymem potwory rozbijały się rozpaczliwie po podziemiu, wybuchając spazmatycznym śmiechem i jękami. Dym mnie również oślepiał i dusił, zaczęłam się krztusić, aż poczułam krew w ustach i po chwili bezowocnej walki straciłam przytomność. Gdy przyszłam do siebie, znajdowałam się już pod opieką pana Ralfa i Roberta, który mi twarz skrapiał świeżą wodą. Oto jest wierny opis mejej przygody z Wampirami — kończyła opowiadanie młoda dziewczyna — ale chciałabym się dowiedzieć, czy który z nich uszedł przed ogniem. W takim razie zemsta ich może się okazać jeszcze straszniejszą.

— Może być pani zupełnie spokojna — odpowiedział Ralf Pitcher. — Udałem się do ruin przed południem, kazałem oczyścić wejście do jaskini i wszedłem do środka. Podziemie jest pełne trupów spalonych; jest to obrzydliwa masa rozgotowanych mózgów, których poddać badaniu nawet nie będzie można. A żałuję tego mocno, bo ciekawy byłem bardzo bliższego zapoznania się z głównym organem tych niezwykłych istot. W każdym razie może pani spoczywać spokojnie, miss Alberto! Niema już na naszej ziemi istot niewidzialnych!

— — — — — — — — — — —

Miss Alberta jest już od miesiąca szczęśliwą żoną Roberta Darvel. Przy uczcie poślubnej, lord Frymcoock wykazał w całej pełni swój niezwykły kunszt kulinarny i resztę życia pragnie poświęcić swoim ukochanym towarzyszom.

Robert Darvel, którego szczęścia nic teraz nie jest w stanie już zamącić, przygotowuje wielką rozprawę naukową o planecie Marsie, która wkrótce odczytaną zostanie na zjeździe uczonych.

Ralf Pitcher nie wychodzi zaś prawie z laboratoryum, doprowadzonego do pierwotnego, kwitnącego stanu. Dzielnie wspomagany przez Jerzego Darvela i wiernego Zaruka, pracuje zawzięcie nad naukowem urzeczywistnieniem pochłaniającej go myśli stania się na podobieństwo Wampirów — niewidzialnym.

W końcu Arabowie, którzy z przerażeniem omijają rzymskie ruiny Chehahii, na tle oryginalnych przygód mieszkańców willi Sentisque tworzą wspaniałe i pełne fantazyi legendy.

Utrzymują, że jeden z Wampirów, który uszedł śmierci w płomieniach, błądzi samotnie, wyjąc żałośnie po okolicznych lasach.

Jemu to przypisują ginięcie jagniąt, choroby swoich dzieci i wogóle wszystkie niewytłomaczone fakta, objawiające się w okolicy. Wielu z nich słyszało jego ironiczny, przejmujący śmiech, mający być zwiastunem nowego nieszczęścia!...

K O N I E C.

Opieka nad galicyjskimi wygnańcami.

Akcya celem ulżenia niedoli naszych wygnańców, o czem pisaliśmy już w poprzednich numerach, zatacza coraz szersze kręgi. Między innemi przed pięciu tygodniami zawiązał się komitet dobroczynny w Choceniu. Dzięki pracy energicznego zespołu, komitet ten zdołał już wiele dobrego zrobić.

Prezesem został jednogłośnie wybrany p. inżynier Julian Treutler, niezwykle energiczny. Pracuje on usilnie, byle tylko ulżyć biednym wygnańcom i przyjść im z pomocą, czy to radą, czy też zaspokojeniem potrzeb materyalnych. Wszystkich naturalnie trudno zaspokoić, bo komitet rozporządza bardzo skromnymi zasobami, a zapotrzebowanie jest olbrzymie, częstokroć musi tylko ograniczać się do... obietnic, oczywiście na rachunek przyszłej ofiarności rodaków.

Komitet zyskał nieocenioną orędowniczkę w osobie p. Wallesowej, nadkomisarzowej, która, współczując doli biedaków, stara się wszelkimi sposobami im ulżyć.

Należy z uznaniem podnieść, że na ręce komitetu wpływają datki bądź w gotówce, bądź w odzieży, ze wszystkich stron, jak z Księstwa Poznańskiego, ze Szwajcaryi, Śląska, Moraw, Galicyi, nawet z Ameryki.

Trzeba również wspomnieć, że z inicytawy p. Koczowej, nauczycielki czeskiej, oraz pp. Rubiczowej, Wallesowej i Miarczyńskiej, przygotował komitet dziatwie wspaniałą i uroczystą gwiazdkę. W nowo wybudowanym kościółku ustawiono drzewko wspaniale ustrojone i oświetlone elektrycznie, a wokół zgromadziła się dziatwa bosa, drżąca od zimna, jednak z rozradowanemi twarzyczkami.

Po odśpiewaniu kolend przez miejscowy chór mieszany pod batutą p. Wiśniewskiego, przemówiła podniośle do dziatwy p. Władysława Miarczyńska, powieściopisarka z Krakowa, po niej zabrał głos p. inż. Julian Treutler, dziękując za hojne dary ofiarodawcom, w szczególności komitetowi czeskiemu, który przesłał dziatwie 700 torebek z ciastkami i owocami.

Burmistrz miasta p. Zbiekiık również przemówił do dziatwy w gorących słowach, zaznaczając, że dola wygnańców nie jest mu obojętna i że będzie o nich pamiętał.

Zarząd budowy baraków z architektem p. Drahoszem i budowniczym p. Nowakiem na czele, zebrał w tym dniu 1000 kor. i oddał komitetowi w pamiętny dzień gwiazdki 1915 r. na ciepłą odzież dla wychodźców i ich dzieci.

Celem zaopatrzenia wygnańców w niezbędną odzież komitet urządził szwalnię, w której pod kierunkiem pp. Wallesowej i Thorówny pracuje około 20 panien, szyjąc bieliznę dla dziatwy i starszych. Nie zapomniał też o reparacyi obuwia, którego wychodźcy bardzo potrzebują.





Opieka nad galicyjskimi wygnańcami:

Wydział komitetu opieki nad wygnańcami w Choceniu. (X) Inż. Jul. Neutler, (XX) sekretarz Tadeusz Kłosowski, (XXX) skarbnik Franciszek Styczeń, 4. Wł. Miarczyńska, 5. Marya Thorówna, 6. Anastazy Rittermau zast. prez., 7. wydz. Metta, 8. Wesołowski, 9. Sikorski.

Zarząd budowy baraków w Choceniu

W niewoli.

Obecna wojna, która zgotowała nam tyle niespodzianek, prześcignęła wszystkie poprzednie wojny liczbą jeńców. W niewoli austro-węgierskiej i niemieckiej znajduje się już około pół miliona jeńców rosyjskich. Stosunkowo wielką jest również liczba jeńców francuskich. Nie ulega wątpliwości, że przyczyną jest tu nie tylko niechęć do wojny mało uświadomionych „mużików" rosyjskich, ale także same warunki współczesnej wojny, operującej olbrzymiemi masami i morderczą bronią. Przy największem bohaterstwie żołnierzy, mniejszy oddział wojska, który oderwie się od swej podstawy i zostanie osaczony, nie ma możności żadnej obrony i musi poddać się lub zginąć. Tak samo udoskonalenia współczesnej broni sprawiają, że oddział, który nieopatrznie wpadnie w zasadzkę karabinów maszynowych i ognia artyleryjskiego, ponosi tak olbrzymie straty, że nieraz w ciągu paru minut giną całe pułki. W takich bowiem warunkach walka jest także bezcelową,



Z teatru wojny: Arcyksiążę Leopold Salwator (X) w okopach na terenie walk w Królestwie Polskiem.

a uratować życie żołnierzy może jedynie tylko niewola.

Naturalnie tego rodzaju wypadki są wynikiem błędów i nieostrożności ze strony komendantów. Tutaj też okazuje się, jak ważną rolę we współczesnej wojnie odgrywa należycie wyszkolony i uzdolniony korpus oficerski. Pod tym zaś względem armia rosyjska stoi bardzo nisko i to jest powodem, że nie tylko mniejsze oddziały rosyjskie, ale nawet całe korpusy dostają się do niewoli. Dość tu przypomnieć wynik bitwy nad jeziorami Mazurskiemi, gdzie cała



Z teatru wojny: Kościół w Kurowicach pod Łodzią, zburzony doszczętnie podczas ostatnich walk. U góry podobizna proboszcza.

armia rosyjska została wzięta do niewoli i cały szereg walk zarówno w Król. Polskiem, jak i na terenie galicyskim. O wielkiej liczbie jeńców mogliśmy się przekonać i tu w Krakowie, gdy niedawno



W niewoli: Fragment z obozu jeńców rosyjskich w jednem z miast galicyjskich. (Fot. Ad. Wilusz).

w pobliżu twierdzy toczyły się walki. Codziennie ulicami przeciągały szeregi wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich, którzy ze swego losu byli bardzo zadowoleni.

Technika na usługach wojny.

W miarę, jak dzięki nowym wynalazkom ulepsza się coraz bardziej istniejące już urządzenia techniczne, korzysta z nich także w całej pełni i strategia.

Dzięki im nowoczesna wojna jest bardzo ciekawą, a nawet, można powiedzieć, że i pouczającą, daje bowiem wynalazcom pole do praktycznego zastosowania tego, co obmyślili teoretycznie.

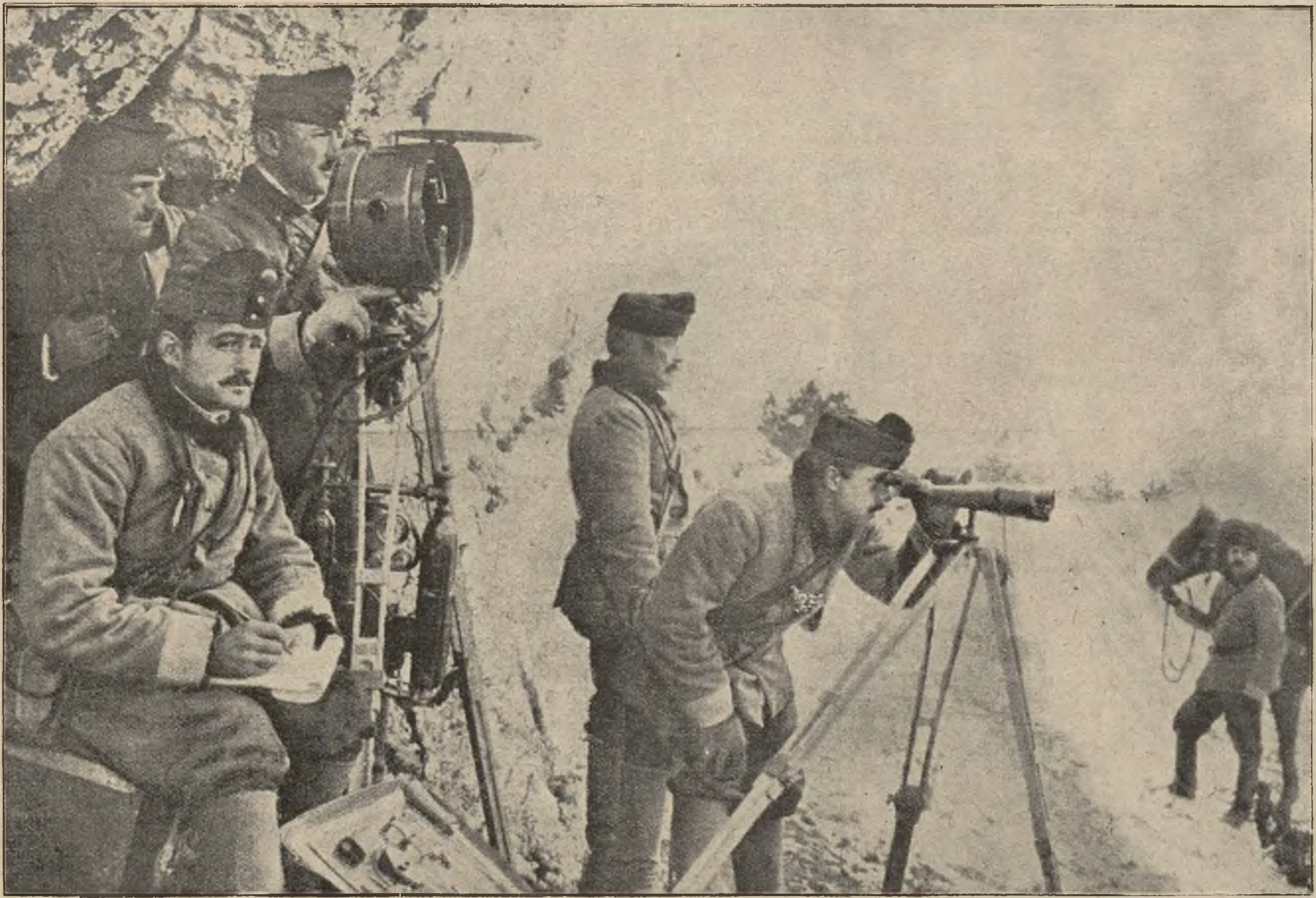
Postępom kolosalnym techniki w najróżnorodniejszych jej gałęziach zawdzięczamy też, że obecnie wojna nie może się tak długo toczyć, jak to było ongiś, za owych lepszych czasów, po których wspomnieniem są karty historyi, traktujące o wojnie siedmioletniej, trzydziestoletniej i t. d.

Dziś, przy zastosowaniu najnowszych wynalazków technicznych, ani myśleć nawet nie można o podobnie długiem trwaniu wojny, gdyż z walczących nie pozostałby stanowczo nikt przy życiu. Jednem słowem, dzięki postępom techniki nowoczesna wojna stała się krótszą, ale zato bardziej morderczą, niż to było, choćby tylko sto lat temu.

Niejednokrotnie omawialiśmy już w naszem piśmie zastosowanie najrozmaitszych nowych wynalazków, przeznaczonych głównie dla celów wojskowości, ostatnio poświęciliśmy gorące wspomnienie „grubej Bercie“, dziś podajemy Czytelnikom illustracye, przedstawiające wojskowy telefon przy pracy i elektryczne reflektory.



Z teatru wojny: Pierwszy zwiastun zimy na terenie walk w Galicyi.



Technika na usługach wojny: Stacya świetlna armii austro-węgierskiej w Karpatach.

Telefon, tak jak telegraf drutowy i bez drutu, ma w czasie wojny ogromnie szerokie zastosowanie, służy bowiem do porozumiewania się poszczególnych oddziałów pomiędzy sobą, każda więc armia posiada należycie wyszkolonych telefonistów, którzy w bardzo krótkim czasie przeprowadzają przewody i urządzają prowizoryczny telefon polowy, mogący każdej chwili przeniesionym być na inne miejsce.

Zwłaszcza artylerya, która dzięki dalekonośnym działom oddalona jest na wielki dystans od pozycyi nieprzyjacielskich, posługuje się telefonem polowym. Zapomocą niego zawiadamiają wysunięte daleko naprzód straże, lub obserwator, przebywający w balonie na uwięzi, o stanowisku i sile wrogiej armii, komendant bateryi oblicza według tego oddalenia i reguluje odpowiednio pozycye dział, nie widząc wcale nieprzyjaciela.

Obecna wojna, tak na terenie wschodnim, jak



...atru wojny: Jenerał-gubernator warszawski i dowódca armii rosyjskiej w Królestwie Polskiem, jenerał Żyliński (X) na dworcu w Warszawie.

i zachodnim wykazała, że zwłaszcza austryacka artylerya w tych obliczeniach nigdy się nie myli, a zawdzięcza to właśnie sprawnemu funkcyonowaniu swych polowych urządzeń telefonicznych.

Zadaniem reflektorów elektrycznych jest znowu robienie dnia z nocy lub też sygnalizacya świetlna. Urządzenie jego polega na zastosowaniu zwierciadła wklęsłego, w którego ognisku pali się silna lampa elektryczna, zasilana prądem akumulatorów. Promienie jej, odbite przez powierzchnię zwierciadła, mogą być wobec tego rzucane w dowolnym kierunku i oświetlają dokładnie okolicę na kilku a nawet kilkanaście kilometrów w dal.

Dzięki reflektorom można na stosunkowo wielką odległość nawet w nocy wybadać ruchy wojsk nieprzyjacielskich i skierować w tę stronę ogień artyleryi, mający przeszkodzić posuwaniu się ich, lub robotom ziemnym n. p. sypaniu szańców, budowie mostów i t. d.

W świetle promieni reflektora, którego zwierciadło jest ruchomo osadzone i może być odpowiednio kierowane, widzi się całą okolicę, jak na dłoni. Jedynie mglista noc utrudnia obserwacyę.

Wobec tego każdy teraz, nawet laik, zrozumie, że zarządy armii starają się o zaprowadzenie szarego umundurowania dla wojska, by tem łatwiej uchronić je od wyśledzenia za dnia i w nocy, gdy promienie słoneczne mają zastąpić promienie reflektora.



Technika na usługach wojny: Stacya telefonu polowego na terenie walk w Królestwie Polskiem

Opieka nad rannymi w Krakowie.

Kraków, położony w pobliżu walk w Galicyi i w Królestwie Polskiem, jest głównym punktem



Opieka nad rannymi w Krakowie: Komendant stacyi opatrunkowej na dworcu krakowskim, dr. Sofer

szpitalnym obu tych terenów operacyjnych armii austro-węgierskiej. To też po całem mieście rozrzucone są szpitale wojskowe, pomieszczone we wszystkich budynkach publicznych i lokalach szkolnych. Między innemi urządzono szpitale w gmachach uniwersyteckich, w budynku Starego Teatru, seminaryum duchownego, zakładu Helclów i t. d.



Opieka nad rannymi w Krakowie: Stacya opatrunkowa na dworcu krakowskim.

Nie wszyscy jednak chorzy ze wschodniego terenu wojny pozostają na kuracyi w Krakowie. Znaczna ich część, po opatrzeniu, odsyłana jest dalej, w głąb monarchii, a wielu lżej rannych, po opatrzeniu na dworcu krakowskim, odrazu udaje się w dalszą drogę. Toteż przez dworzec krakowski przesuwają się tysiące rannych, którymi opiekują się urządzone w obrębie dworca stacye opatrunkowe. Wre tam praca gorączkowa i odpowiedzialna, a liczny personal z komendantem dr. Soferem na czele pracuje z godną uznania gorliwością.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć ze stacyi opatrunkowej na dworcu krakowskim i ze szpitali.

Po najeździe wroga.

Ciężkie klęski zwaliły się na nasz kraj, który został spustoszony, splądrowany aż do cna. Lat całych będzie potrzeba, by kraj mógł się podnieść. Bardziej jednak boli to, iż nieprzyjaciel nie poprzestaje na zniszczeniu okolic, ale zatruwa dusze ludu, demoralizuje go, czyni u zestnikiem rabunku. To może dla nas najdotkliwsze. Najsmutniejsze, że sądy zaraz po ustąpieniu wojsk rosyjskich rozpatrywały sprawy kilkuset naszych włościan, którzy brali udział w rabunkach. Niszczy nas wróg i zabija materyalnie i moralnie. Rozjuszeni żołdacy moskiewscy kradli, zabierali wszystko, co się im nawinęło pod rękę. To też w niejednym wypadku przebrała się miara cierpliwości naszego chłopa, który splunąwszy w garść, wyrzucał nieproszonego gościa z domu i to okazywało się bardzo skuteczne.



Po najeździe wroga: Ksiądz kanonik Stanisław Węgrzynek z Dzikanowic pod Wieliczką.



Z teatru wojny: Przed parlamentem w Belgradzie po wymarszu wojsk austro-węgierskich.

W Dziekanowicach pod Wieliczką czerkies wpadł do plebanii i zażądał od ks. kan. Stanisława Węgrzynka pieniędzy. Ksiądz kanonik dał mu wszystkie drobne pieniądze, ale nie zadowolony tem czerkies dobył szabli i ciął straszliwie w głowę ks. Węgrzynka; szczęściem cios szabli osłabł wskutek uderzenia o piec, a ks. Węgrzynek pochwycił żołnierza i wydarł mu szablę z ręki. Czerkies uciekł, ale rozpoznany po szabli, podobno został rozstrzelany. Ks. kan. Węgrzynka przepraszał w imieniu armii rosyjskiej kapelan, pop. Podajemy podobiznę czcigodnego kapłana, który cięty w skroń, jednak wyrwał broń Moskalowi.

Ks. Stanisław Węgrzynek jest już 12 lat proboszczem w Dziekanowicach, gdzie pracuje bardzo skutecznie nad ludem, otaczany miłością i czcią ogólną od parafian.

Samochody a wojna.

W ostatnich czasach samochody zdobyły sobie w całym świecie do tego stopnia prawo obywatelstwa, iż, kto wie, czy nie przyjdzie czas, w którym, jak powiada pewien humorysta, wnukowie nasi będą znali konia, jako zwierzę pociągowe jedynie z obrazków i powieści.

Bo też, przyznać trzeba, samochód na każdym kroku wypiera je z codziennego życia i tak, jak dziś jest zbytkiem, posiadać własny samochód, tak z czasem do szczytu elegancyi będzie należeć posługiwanie się końmi, gdy automobile przeznaczone będą dla szarego tłumu, wyznającego zasadę: czas, to pieniądz.

Nie tak to dawno, bo zaledwie trzydzieści lat temu, gdy jeszcze powieść J. Vernego p. t. „Dom parowy“, wydawała się czemś fantastycznem, dziś widzimy, że autor, pisząc ją, jakby przeczuł, iż w kilkadziesiąt lat później, drogi całego świata zaroją się od samochodów najrozmaitszych systemów.

Pierwszy wóz tego rodzaju, poruszany tak, jak Vernego „Dom parowy“ przy pomocy pary wodnej, zbudowano już w r. 1769, właściwą jednak podnietę do ich budowy dał parowóz Bollée'go przedstawiony na powszechnej wystawie paryskiej w r. 1878. Był to rodzaj lokomotywy, tem się przecież od niej różniący, iż nie potrzebował szyn, lecz poruszał się po zwykłej drodze.

Po licznych próbach zdołano pierwsze praktyczne rezultaty osiągnąć dopiero w r. 1895. Odtąd samochody zaczęły się szybko rozpowszechniać, najrozmaitsze systemy mnożyły się, jak grzyby po deszczu, a każdy starał się budowę jak najbardziej uprościć. Obecnie sprowadzają się wszystkie do trzech typów, a to według rodzaju motoru, stosowanego do ich poruszania, są więc samochody z motorem parowym, naftowym lub benzynowym i elektrycznym.

Wozy pierwszej kategoryi służą dobrze, gdy idzie o przewóz ciężarów na drogach krótkich, na większe oddalenia tracą swe znaczenie z powodu potrzeby zabierania znacznej ilości opału. Również i elektryczne, w których za źródło prądu służą akkumulatory, nie są zbyt praktyczne, koszt bowiem energii jest dotąd zbyt wysoki, a akkumulatory wzmagają znacznie ciężar wozów, służyć więc mogą jedynie do komunikacyi miejskiej, po drogach szczególniej dobrych.



Z teatru wojny: Zburzony dom i zwłoki zabitych w czasie bombardowania miasta Arras we Francyi.

Pozostają więc, jako najodpowiedniejsze, naftowe, raczej benzynowe i one też ogólnie są dziś w użyciu, choć nieprzyjemna woń, jaką wydają, razi nieraz delikatny nos niejednego przechodnia.

Na ogół samochody wszelkich systemów niszczą drogi bardziej, niż inne wehikuły, zagrażają też większem niebezpieczeństwem, pędzą bowiem niepowstrzymanie, zwłaszcza, jeżeli kierownica i hamulec odmówią posłuszeństwa, gdy tymczasem koń sam niejako bierze udział w kierowaniu pojazdem i za-



Z teatru wojny: Widok ogólny na Użok i przełęcz, przez którą Rosyanie wtargnęli na Węgry.

trzymuje się instyktownie wobec napotykanych przeszkód.

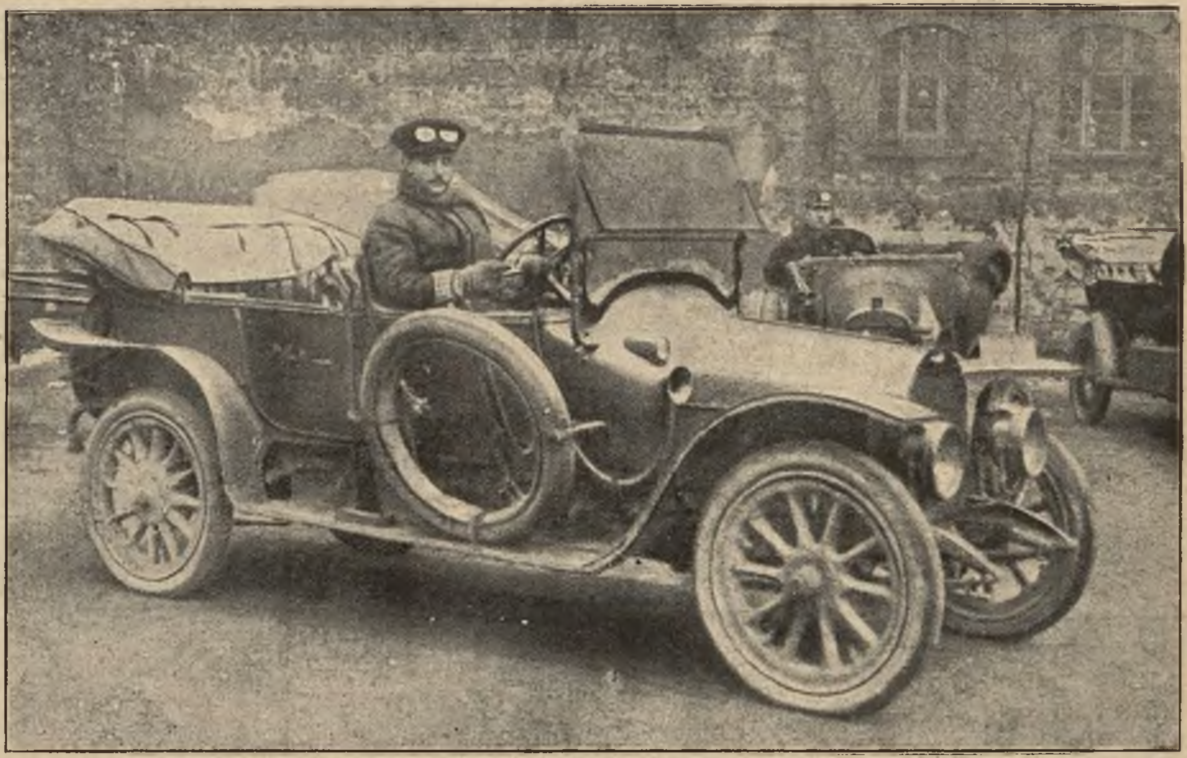
I w obecnej wojnie znalazły samochody bardzo szerokie zastosowanie, posługuje się też nimi armia na każdym kroku, zwłaszcza tam, dokąd nie dochodzą koleje żelazne, a gdzie drogi na to pozwalają. Przy każdej też komendzie, znajduje się specyalny korpus automobilistów i motorzystów, oddający wojskowości nieocenione wprost przysługi.

W szczególności używa się samochodów osobowych do szybkiego przewożenia rozkazów z miejsca na miejsce, na ciężarowych zaś transportuje się materyał wojenny, żywność i działa, nieraz zaś, gdy chodzi o pospiech, przerzuca się przy ich pomocy szybko mniejsze oddziały wojskowe z miejsca na miejsce.

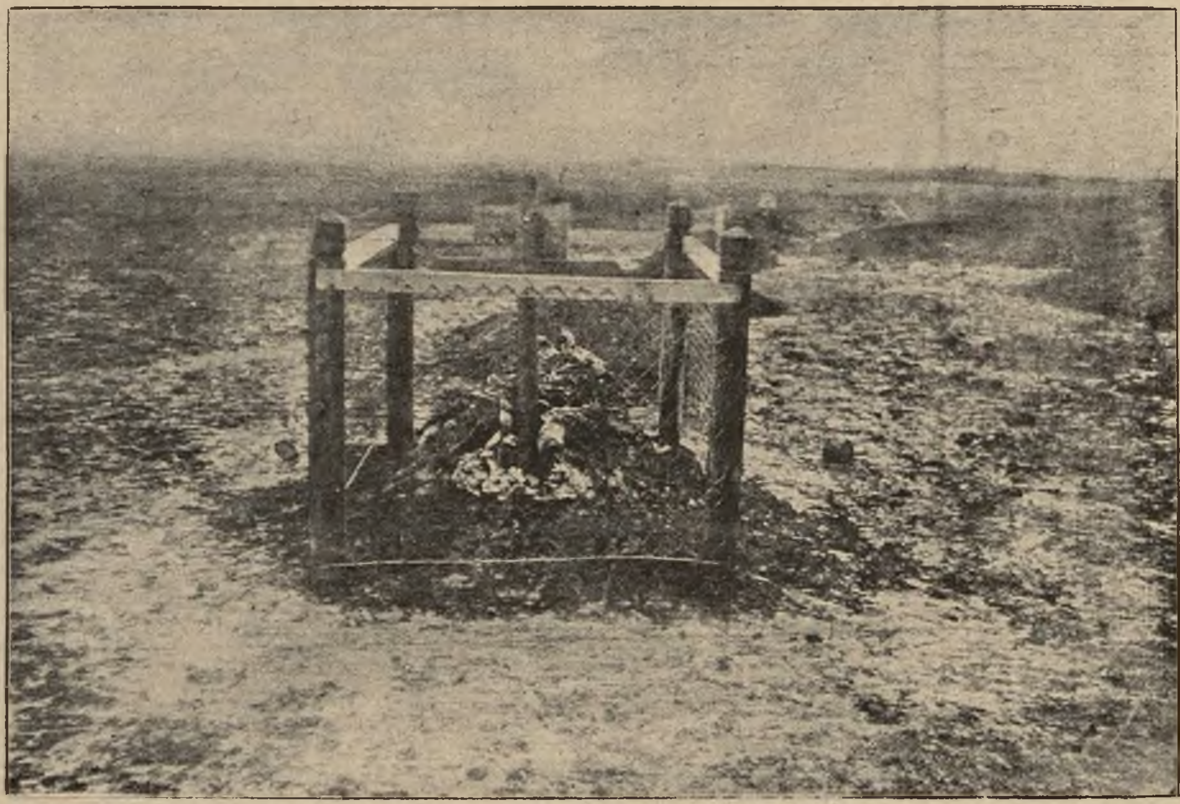
Słynne nasze baterye mo orowe, które tak chlubnie odznaczyły się na wschodnim i zachodnim tereme wojny europejskiej, pomieszczone są także na samochodach i dzięki tej właśnie okoliczności okazały się tak sprawnemi.

Jednem słowem, samochód, to wehikuł teraźniejszości i przyszłości, o ile go nie zdystansuje jakiś nowy wynalazek w tym kierunku n. p. ulepszony aeroplan lub coś podobnego.

W niniejszym numerze podajemy illustracyę, przedstawiającą naszego korespondenta, p. Stanisława Szydelskiego, słuchacza lwowskiej politechniki, który ze względu na naukowe bezrobocie, wywołane obecną wojną, zaciągnął się jako szofer cywilny do automobilowego korpusu i pełni ciężką służbę przy pierwszej komendzie naszej armii, bawiącej w polu. W liście donosi, jaką uciechę sprawił Polakom, tamże bawiącym, świąteczny numer *„Nowości Illustrowanych"*, jaki tam się dostał dzięki samochodowi, zwłaszcza zaś jego kierownikowi, który bawiąc w Krakowie, nie zapomniał i o duchowej strawie dla swych kolegów.



Samochody a wojna: Korespondent nasz, słuch. Politechniki lwowskiej p. Stan. Szydelski, na terenie Król. Polskiego.



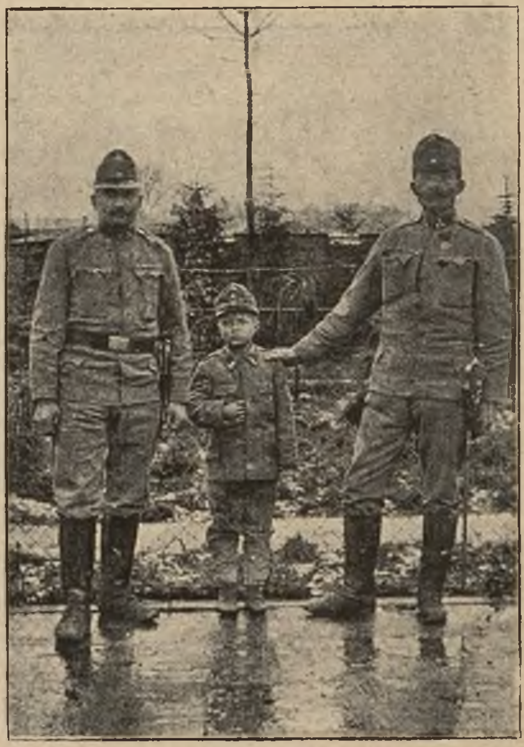
Z teatru wojny: Grób oficera, poległego w wa kach na Węgrzech.



Z teatru wojny: Przed inwazyą nieprzyjaciela w Galicyi.

Najmłodszy żołnierz.

Na wojnie ludzie giną, ale na wojnie można także znaleźć człowieka... Takiego znalezionego żołnierza wraz z jego opiekunami przedstawia nasza illustracya. Historya jego bardzo krótka i prosta. Jest to 11-letni Jakób Wąsik z Bronowic Dużych. Matka umarła, a ojciec zginął na wojnie. W czasie walk pod Krakowem chłopczyna schronił się do lasu i tam go znaleźli żołnierze 28 batalionu landszturmu z Moraw. Starzy wojacy, z których niejeden zostawił własne dzieci w domu, ulitowali się nad bezdomnym Wąsikiem i zabrali go ze sobą.. Odtąd zaczyna się dla 11-letniego malca „karyera wojskowa". Nie opuszcza swych opiekunów i towarzyszy im nawet w rowach strzeleckich. W ten sposób mały Jakóbek okrył się już „sławą wojenną", uczestnicząc w kilku bitwach i znajdując się w ogniu najzaciętszej walki...



Najmłodszy żołnierz: 11-letni „kapral", Jakób Wąsik z Bronowic i jego opiekunowie.

Malec, którym troskliwie zaopiekowali się oficerowie, stał się ulubieńcem kompanii... Sprawiono mu ciepłe wojskowe ubranie i awansowano na „kaprala..." Jakób Wąsik jest też niewątpliwie najmłodszym żołnierzem w armii...

JÓZEF LASOŃ.

A KIEDY WYBIŁA GODZINA!...

(Ze wspomnień Legionisty).

— Tak! tak, Józku! Doczekaliśmy się! Ciesz się bracie, gorzały się napij, żonę ucałuj, dziecko uściśnij, a jutro... jutro... Kolumna! Marsz!... A jak chwycę Moskala! Ze skóry go obedrę! Na Sybir ich wygnamy!

Przypasał szablę, wyciągnął z pochwy, machać począł nią, jak patykiem.

— Bój się Boga, Tadek, biurko rozbijesz, łeb mi rozetniesz. Będziesz miał dosyć czasu, jak będziemy w polu!

— Baczność! Co za Tadek? Plutonowym jestem, zastępcą komendanta, oficerem do cholery, a ty co? — spytał niby ostro, wstrzymując uśmiech na ustach.

— A tak, to co innego — odparłem wesoło — ja jestem tylko szeregowcem.

— Więc baczność! — krzyknął ostro.

Stanąłem wyciągnięty przed nim jak struna.

Odpasał szablę, rzucił na biurko, a potem... buch mi na szyję.

— O Józek! Józek!

Roześmialiśmy się obaj.

— Teraz idę do domu. O szóstej będę na zbiórce, a ty Tadziu wyręcz mnie w urzędowaniu.

— Zgoda! Idź, a wracaj duchem!...

* * *

Deszcz walił jak z cebra, rozpaskudziło się niebo, jakby płakać poczęło zawczasu nad Polskim grodem. Przez ulice Krakowa tysiące ludzi spiesznie przechodzi, wiadomość z ust do ust podają: „Wojna z Rosyą!“ Muzyki po mieście grają, za niemi tłumy ludzi, okrzyki co chwila wznoszą: „Niech żyje Austrya! Precz z Rosyą!“ Szybko przebiegłem ulicami miasta, chcąc się jak najprędzej do Podgórza dostać, aby się nie spóźnić, a tu tyle jeszcze sprawunków na głowie. To buty trzeba kupić, to prowiantów trochę na drogę, to rozmaitych drobiazgów. Wreszcie uporałem się z tem, wpakowałem wszystko w plecak i punktualnie o szóstej przybiegłem do koszar.

Okrzyki przywitały mnie, pełne szczęścia i radości. W salach pełno żołnierzy, po korytarzach, przed lokalem pomimo rzęsistego deszczu.

Podzielono nas w plutony, ustawiliśmy się w balowej sali, jedni z tornistrami na plecach, niektórzy zawiniątka w ręce trzymali. Ot, bochenek chleba do białej chusty zawinął, kawałek kiełbasy, flaszeczkę wódki, trochę drobnych drobiazgów i tak na wojnę się wybierał. Jedni w słomkowych kapeluszach, drudzy w strzeleckich, kilku w kompletnych mundurach, poprzerabianych ze starych ubrań wojskowych. Ot tak, jakby kompania pielgrzymkowa pątników na odpust do miejsca cudownego się wybierając, do drogi się szykowała. Tu mundur gimnazyalisty, tam znów bluza robotnicza się ukazała.

Ale oczy natomiast jednakowym blaskiem jaśniały. A twarze jednakową radością przepojone były. A serca jedną wiarą nasycone były.

— Za Polskę idziem w bój!...

— Baczność! — zakomenderował Szaleniec.

Cisza wielka, jakby zaklęte wojsko tatrzańskie stało.

Odczytał rozkaz komendant, w kopertę włożył, na piersi wsunął. Wyprężył głowę, po sali powiódł oczyma, na twarze nasze patrząc bystro.

— Obywatele! — przemówił donośnym głosem. — Jutro wymarsz. Kto nie chce, kto się boi, kto chorym czuje się i słabym, wystąpić z szeregu.

Nikt nie wystąpił.

— No, nuże! — krzyknął. — Niema takiego?!

— Niema, komendancie! — sto kilkanaście głosów mu odparło. — Niema!

— Dobrze chłopcy! To się chwali!

Palnął mówkę przy końcu, do wytrwania nas zachęcając, potem jeszcze raz odczytał rozkaz na piątek, aby punktualnie się wszyscy zjawili, upomniał.

Do późnej nocy trwały przygotowania. Rozebrano karabiny Werndla, wyczyszczono je starannie, wyostrzono stare, pordzewiałe bagnety.

Szabla, która długie lata służyła scenie amatorskiej, wyczyszczona, wyostrzona, odświeżona, błyszczała przy boku Kruka, który pobrzękując nią, co chwilę spoglądał na nią, jakby się widokiem jej pieścił. Stara to była szabla, pamiętała jeszcze ostatnie boje polskie, ale dobra i silna.

— Długi czas wojowała na scenie — roześmiał się Kruk, pokazując komendantowi — teraz i ona na wojenkę idzie. Nie będzie już więcej paradować na scenie, choć kto wie — dodał po chwili — jak wrócę, to z powrotem pójdzie na pensyę — do teatru, na scenę.

Tylko karabin Manlichera wisiał spokojnie na ścianie. Nikt go nie śmiał przymierzyć, gdyż to jeden jedyny nasz karabinek, za własne, wspólne pieniądze kupiony, więc musi w dobre ręce przejść.

A niejeden ostrzył sobie apetyt na niego.

Przymilali się komendantowi, co chwila przypominając o tym karabinie, pytali się ciekawie, kto go nosić będzie.

— Już ja tam nie zapomnę o nim! — uśmiechnął się komendant, patrząc na karabin. — On już jest przeznaczony!

— A kto go dostanie? — pytali natarczywie.

— Jutro się dowiecie!

— Pewnie Strzemię go dostanie! — mówili jedni. — Bo on najwyższy z nas!

— E, nie! — sprzeczali się drudzy. — Strzemię jest wysoki, to może Werndla nosić, a któryś z tych małych dostanie. Może Goldstein.

Zaświeciły się oczy Goldsteina, gdy posłyszał, że o nim mówią, spojrzał pytająco na komendanta, który się uśmiechnął do niego.

— Pewnie ja dostanę! — szeptał uradowany. — Pewnie ja dostanę Manlichera.

Humor bajeczny rozgościł się pomiędzy nami, dowcip swobodny, szczery.

— Ty, słuchajno — mówi jeden do drugiego — do Królestwa idziesz, a paszport masz?

— Pewnie, że mam! — mówiąc to podnosi karabin do góry.

— O patrz, jaki dokumentny paszport, żebym tylko Moskala na granicy spotkał, zaraz bym się wylegitymował.

— Gadaj! gadaj! Ale jak go zobaczysz, to się mu ładnie pokłonisz!

— Ba, nawet go poproszę, żeby mi towarzyszył, jak go do niewoli wezmę.

Wyczyszczone karabiny z nasadzonymi bagnetami błyszczały, jak gdyby co tylko z pod ręki rusznikarza wyszły.

— Trudno! — mówiliśmy — jakie są, takie brać!

— Ręczne armaty! — śmialiśmy się z naszych karabinów. — Niema to jak Manlicher.

Switało już, a nikt nie myślał o spoczynku, sen odbiegł zupełnie, czekali z upragnieniem na wschodzące słońce, bo dzień ów, to najpiękniejszy dzień — wymarszu z koszar — na miejsce przeznaczenia. Wlokły się godziny tak jakoś powoli, niecierpliwość budząc wśród oczekujących jak najprędzej chwili wymarszu.

* * *

Nareszcie! Godzina w pół do dziewiątej rano. Na dziedzińcu koszarowym okrzyki plutonowych, zbiórkę zwołujących. Ten i ów jeszcze tego zapomniał w „Strzelcu“, biegnie więc pospiesznie, bo już zbiórka, już trzeba stać w szeregu.

Za ogrodzeniem podwórza grupka kobiet stanęła i żywo rozprawiając sprzecza się.

— Kiedy mówię wam kumo, te chłopaki na wojnę idą! — mówi pierwsza.

— Ale gdzieta! A coby ta oni na wojnie zrobili. Takie same małe chłopaki. Pewnie ci mają jakąś wycieczkę, bo tu strzelcy mają stowarzyszenie. Pewnie na wycieczkę idą.

— Ale kiedy mówię wom, pani Antoniowo, że na wojnę idą, bo tam i mój syn jest.

— Ale nie.

— To wom zawołam mego syna, a będziecie widzieć.

Przytknęła twarz do krat ogrodzenia i donośnym głosem zawołała:

— Franek, Franek Kopek, chodźno tu!

Wołany stał w pierwszym szeregu, spostrzegł matkę, ale machać począł tylko ręką, że iść nie może, bo już w szeregu stoi.

— Ale chodźno! do matki cię puszczą

Roześmiał się Kruk wesoło, pozwolił Kopkowi do matki iść, pożegnać się.

— Co mama chce? — spytał.

— Kaj wy idziecie? Powiedzno krzesnej matce, bo nie chce wierzyć, że to na wojnę idziecie!

Franek ucałował ręce chrzestnej matce i przemówił radośnie:

— A ino, krzesno matko, na wojnę idziemy, na Moskola!

— Bójcie się Boga, kumciu! — jęknęła Antoniowa. — I wy syna puszczocie na wojnę, aby go zabili. Jedynoka macie i pozwolicie?

— Ha! cóż mom robić! Nie pozwolę mu, to mi i tak choroba z domu ucieknie, a tak, to już lepiej, jemu na sumieniu lżej i mnie. Wola Boska!

Obtarła Antoniowa łzy i, ucałowawszy Franka w głowę, rzekła:

— Kiej na wojnę idziesz, to wróćże Franuś zdrowy, a o matce i o mnie pamiętaj! Będziesz?

— Będę! — odrzekł wzruszony. — Ale już muszę iść, bo już apel niedługo będzie. — Ucałował ręce kobiet, pochylił się do kolan i stanął w szeregu.

Szybko przeprowadzono zbiórkę, plutonowi zdali raport komendantowi, sformowano na rozkaz komendanta kolumnę czwórkową.

Stojące przed bramą grupki ludzi rozstąpiły się w milczeniu, robiąc miejsce dla oddziału strzeleckiego.

Jeszcze raz głowy niektórych żołnierzy zwróciły się w stronę koszar, gdzie tyle dni i chwil błogich przepędzili, smutnie i tęsknie patrząc na opustoszały gmach.

Niejednemu łza z oka wyjrzała, niejeden tęsknie westchnął:

— Czy wrócę jeszcze w rodzinne strony?

— Czy zobaczę kiedy rodzinny dom?

Nagle wydarła się z piersi żołnierzy ulubiona pieśń strzelecka:

> Poczekaj Moskalu, ty pogańska duszo,
> Maszeruje oddział strzelców, na proch cię rozkruszą!..

coraz silniej, coraz weselej, żegnała rodzinne strony.

A grupka ludzi, idąca za kompanią, rozprawiała w dalszym ciągu:

— Czy oni na wojnę idą?

— Ale gdzie! Na ćwiczenia!

— Ależ! Kiej mówię wam, że na wojnę, bo tam mój Franek jest.

Po drodze kwiatów kilka z okien otwartych upadło na przechodzących strzelców, na jasne ich głowy.

Kilka białych i czerwonych róż do stóp im upadło!...

Białe i czerwone róże!...

* * *

Przymaszerowaliśmy do Oleandrów. Na ogrodzonem boisku, poza parkiem wystawowym, kompanie strzeleckie stoją, szykują się do drogi.

Stanęliśmy pod parkanem, rozłożyliśmy się na wydeptanej trawie.

Cały dzień trwały uzupełnienia kompanij. Numerowano je i uzupełniano bataliony.

Dostaliśmy początkowo numer dziewiąty, później przemieniono nas na numer dziesiąty, trzeci batalion.

Pierwszą noc przepędziliśmy w budynku powystawowym, zbudzeni nocnym alarmem, który na szczęście okazał się fałszywym. Dopiero około godziny drugiej nad ranem, na odgłos trąbki zerwaliśmy się, ubierając się pospiesznie.

Przy drzwiach wchodowych teatru, zapalone pochodnie rzucały jasne snopy światła na kręcących się strzelców.

Tam, przy stoliku, przy płonących pochodniach, batalionowy Wyrwa odbierał rozkazy, odbierał dowództwo nad naszym batalionem.

Ojciec Kapucyn, kapelan, pojawił się i począł słuchać spowiedzi poszczególnych żołnierzy. Ale z powodu braku czasu, wysłuchać nie mógł wszystkich chcących się wyspowiadać; uklękliśmy tylko, wyciągnął rękę, rozgrzeszył nas i pobłogosławił.

Zaraz po piątej godzinie rano, w sobotę, dnia 8 sierpnia 1914 r., po odprawionem nabożeństwie na Błoniach krakowskich przy udziale nielicznej grupy „cywilnych“ uczestników, wymaszerowały oddziały strzeleckie. Wymaszerowały cicho, spokojnie, tylko jedyna pieśń nasza zabrzmiała jeszcze, żegnała stary nasz gród serce naszego kraju — Kraków.

Jeno tam tylko w niektórych kościołach dzwony zajęczały, jeno tam niektóre serca rozszarpane boleścią były.

— — — — — — — — — — — —

I szły oddziały, z ufnością w przyszłość patrząc, pełne gorącej miłości ojczyzny, szły, aby krew swą położyć na ołtarzu ojczyzny, aby dać dowód, że „Nie zginęła i nie zginie!“

— — — — — — — — — — — —

A na Wawelu zegar począł wydzwaniać godzinę! Lecz którą... nie pamiętam!...



Opieka nad rannymi w Krakowie: Chorzy w sali Szujskiego Colegium Novum.



Opieka nad rannymi w Krakowie: W sali operacyjnej szpitala Nr. 4. (w Colegium Novum). 1. Komendant dr. A. Váhala, 2. dr. Ernest Lowy; 3. dr. Zyg. Erlich.

Kronika tygodniowa.

Obecną kronikę miałem początkowo ochotę poświęcić „okropnościom wojny“, nie chcąc jednak zbyt denerwować Czytelników, wolę załatwić się z tą kwestyą po lekarsku, to jest, jak to powiadają „co godzina po łyżce“, co się na język kronikarski tłumaczy, co kronika, to jedna okropność.

Początek zrobiony już właściwie, za pierwszą tego rodzaju opowieść uważam bowiem tragiczny los burmistrza z Dobczyc, zatytułowany nawet przezemnie dla użytku przyszłych historyków wojennych: „Burmistrzowskie buty“.

Dziś wspomnę o dwu okropnościach, to jest o wpływie wojny na zmarłych i o korespondentach wojennych, będących dla nas powodem niejednej nocy bezsennej.

W pierwszym więc rzędzie wojna wpłynęła w ten sposób na ś. p. zmarłych, iż zdarzyło się w pewnej galicyjskiej miejscowości, że jeden z nich, aczkolwiek od sześciu lat spoczywał już w grobie, powstał przecież z martwych, sądząc zapewne, iż huk „grubej Berty“ to głos trąby archanielskiej, budzącej nieboszczyków ze snu wiecznego i wzywającej ich do raportu „na sąd ostateczny“.

Tak sobie przynajmniej tłumaczę wzmiankę jednego z pism krakowskich, które, opisując podróż swego sprawozdawcy po okolicach, nawiedzonych pożogą wojenną, wyraźnie podaje nazwisko miejscowego proboszcza, zmarłego przed laty sześciu. Czytałem na własne oczy, iż wysłannik redakcyjny spotkał go w bliskości dworca kolejowego i nawet z nim rozmawiał, nie widząc nawet o tem, że mówi z ś. p. nieboszczykiem!

Ba, wyobrażam sobie, coby to dopiero było, gdyby tak był wiedział. Z pewnością byłby urządził wywiad o życiu zagrobowem, stosunkach, jakie panują w niebie, jak się Święci i Święte Pańskie zapatrują na obecną wojnę, słowem, mielibyśmy coś, czego jeszcze nigdy dotąd nie było i nie będzie, przynajmniej aż do chwili zaprowadzenia regularnej komunikacyi aeroplanowej między niebem a ziemią.

Ze jednak istnieje jakiś związek miedzy tym a tamtym światem, tego dowodem kartka, jaką otrzymała w kilka dni owa redakcya. Ś. p. nieboszczyk prosił w niej, by na podstawie § 19. ustawy prasowej sprostowano, iż „nie jest prawdą, jakoby ze sprawozdawcą dziennikarskim rozmawiał, natomiast prawdą jest, iż od sześciu lat już nie żyje i na miejscowym cmentarzu spoczywa, o czem każdy, kto ciekawy, może się na własne oczy przekonać!“

Zdziwiła mnie nadzwyczaj szybkość, z jaką wiadomość owa przedostała się z nieba na ziemię, w wojennym czasie przyzwyczailiśmy się bowiem do tak ospałego funkcyonowania naszych poczt, iż nic sobie z tego nikt nie robi, jeśli na przykład korespondentka, nadana w Krakowie dnia 3. listopada, dojdzie na miejsce przeznaczenia, także w Krakowie, dopiero 6. grudnia, więc jako prezent od św. Mikołaja.

W ten sam sposób niech sobie wytłumaczą me milczenie moi P. T. Wierzyciele. Na listy, w których upominają się o swą należytość, nie odpowiadam, gdyż ich dotąd jeszcze nie otrzymałem, albo też już je otrzymałem, odpisałem też, nie lubiąc zaległości, ale odpowiedź dotąd na miejsce przeznaczenia nie doszła.

Tak, czy owak, jestem przecież wobec nich kryty i żadnej odpowiedzialności na siebie nie przyjmuję. Zrobiłem to, co do mnie należało (zwłaszcza, że moratoryum jeszcze obowiązuje), urazę, jeśli chcą, mogą mieć tylko do c. k. poczty. Przysługuje im też prawo reklamacyi, z którego niezawodnie zechcą skorzystać.

Drugą okropnością, z jaką zapoznała nas bliżej wojna, jest tak zwany korespondent wojenny, o czem szeroko rozpisuje się „Głos Narodu“.

Dzieli on tę kastę ludzi na dwie kategorye, powiedzmy, korespondentów pierwszej i drugiej klasy, pracujących jednak zgodnie na utrapienie ludzkości.

Pierwszy rodzaj stanowią tak zwani korespondenci wielcy, albo prawdziwi, t. j. ludzie piszący o wypadkach wojennych na podstawie tego, co dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów poza linią bojową widzieli, a przeważnie słyszeli. Opisowi ich osoby poświęca autor sporo miejsca i dochodzi do przekonania, że każdy z nich jest przedewszystkiem t. zw. sportowcem, nosi bowiem nieprzemakalne buty, podkasane spodnie, Bädekera, (który jest dlań źródłem wiadomości geograficznych i strategicznych) i w danym wypadku posługuje się papierem, a ma go zawsze spory zapas w torbie. Z powodu braku ruchu cierpi podobno zawsze na niestrawność, zupełnie jak i jego czytelnik.

Jeśli to były jego zalety, to teraz zaczynają się wady. Jest więc w pierwszym rzędzie bardzo kosztownym, podróżowanie bowiem, przeważnie samochodami, jest w wojennvm czasie bardzo drogie, wszędzie łatwo o sposobność do zabawy, a nuda jest złym doradcą (oj, to prawda!.. przyp. zecera).

W dalszym ciągu zauważa autor, iż taki korespondent wojenny pierwszej klasy, zmuszony przez kilka miesięcy pisać ciągle o wojnie i tylko o wojnie, traci zwolna oryentacyę, co jest prawdziwe, a co zmyślone, co sam widział, a co zmyślił, co słyszał, a czego nikt mu nie doniósł i poczyna improwizować, co nazywa się pięknie „tworzeniem nastrojów wojennych“, aż siebie i czytelnika do cna zamroczy.

Czasem, a dzień to w jego życiu niezapomniany, otrzymuje taki pan pozwolenie na zwiedzenie pola bitwy lub okopów, opuszczonych przed miesiącem przez nieprzyjaciela. Teraz dopiero okazuje ogromną ruchliwość, radby na wszystkie strony urządzać wywiady, choćby z „grubą Bertą“, gdy jednak nie ma nikogo, mającego ochotę do gadania pod ręką, wyciąga z kieszeni nieodstępnego Bädekera i artykuł gotowy!

Korespondent drugiej klasy, nazwany przez autora artykułu mniejszym, małym, a nawet całkiem malutkim, tem się różni od poprzedniego, iż obywa się bez opaski na ramieniu i podkasanych spodni (proszę tego nie brać dosłownie! Nosi inexprimable i to nawet zakasane, ale tylko wtedy, jeśli w Krakowie jest błoto, więc stale), obywa się bez torby i papieru, o kwaterze prasowej wie zaś tylko tyle, o ile wyczyta coś o tem w którémś piśmie codziennem. Zwłaszcza zagraniczne dzienniki pożera z całą zapalczywością i one są głównem źródłem i krynicą jego natchnienia.

Czasem, ale to rzadko, wychodzi w stronę kopca Kościuszki, skąd roztacza się rozleglejszy widok na „horyzont europejski“ i gdzie można spokojnie obserwować „zaciemniające go, brzemienne w następstwa chmury“.

Ale i ten rodzaj poluje na wywiady, a sposobności w mieście do tego nie braknie, gdyż (cytuję znów słowa autora artykułu) „do Krakowa przyjeżdża czasem służący pana hrabiego z pod Myślenic, albo kucharka państwa W. z pod Wieliczki“. Są to naoczni świadkowie wojny, lubiący mówić. Od nich można się wszystkiego dowiedzieć, czego zaś oni nie podadzą, można samemu dośpiewać. Od czegóż natchnienie?

Następnie w ciszy, jaka panuje w każdej redakcyi, lub gdzieś w kąciku, w którejś z miejscowych kawiarni, przelewa na papier swe wrażenia, by (znów słowa autora) „szpalty dziennika, który obsługuje, były pełne, a odbiorca miał za dziesięć halerzy co czytać, nad tem się zastanowić i pomarzyć, albo się nawet troszkę i pomartwić“.

Artykuł kończy się uwagą, że oba rodzaje mają to ze sobą wspólnego, iż czasem wyobraźnia zbyt daleko ich unosi i że znikają z widowni z chwilą, gdy wojna się skończy.

Czy autor niniejszego artykułu nie jest także korespondentem wojennym, skoro tak dobrze zna się na tem, jeśli zaś jest, do której klasy zaliczyć go wypada, sprawdzić na razie nie zdołałem.

Skoro już mowa o okropnościach, to należy wspomnieć, że w ubiegłym tygodniu prócz wojennych mieliśmy także i okropności czysto pokojowe, a do nich należało trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło Włochy, mimo, iż ogłosiły one swą neutralność.

Przypisuję mu także nielada polityczne znaczenie. Energia, nagromadzona w głębi ziemi, musiała się koniecznie wyładować, gdyby zaś stało się to było na terytoryum któregoś z państw, należących do trójprzymierza lub trójporozumienia, dałoby było powód do najrozmaitszych kombinacyi. Skoro zaś potęgi podziemne obrały sobie teren ściśle neutralny, wszystko to odpada i nie może stanowić żadnej przeszkody przy ewentualnych pertraktacyach pokojowych, o których coraz częściej, choć na razie tylko półgębkiem, się wspomina.

Co się mnie tyczy, to obecnie notuję dokładnie wszelkie objawy, które można uważać za wróżby pokojowe.

Jak ongiś powrót gołębicy, niosącej w swym dzióbku gałązkę oliwną, był znakiem, że wody potopu już opadły, tak i ja żywię nadzieję rychłego nastania normalnych stosunków, zwłaszcza, że krakowscy adwokaci zjeżdżają coraz liczniej z Wiednia nad Wisłę, spodziewają się bowiem, że po zaprzestaniu kroków wojennych i wygaśnięciu moratoryum zacznie się dla nich prawdziwe żniwo.

Zadawałoby temu wprawdzie kłam odezwanie się lorda Kitchenera, angielskiego ministra wojny, który na zapytanie, kiedy się obecna wojna zakończy, odparł z powagą:

— Kiedy się skończy, nie wiem, wiem jednak, kiedy się zacznie!

— Kiedyż, ekscellencyo?

— W maju!...

Wiadomo zaś, że w n. p. w mowie krakowskich andrusów wyrażenie „w maju“, ma to samo znaczenie, co „nigdy“. Może to być i w tym wypadku bardzo dobrze zastosowanem, wiemy bowiem, że wojna się już zaczęła w sierpniu ubiegłego roku, więc teraz na nowo zaczynać się nie potrzebuje.

Zresztą ja wierzę więcej krakowskim adwokatom, niż jakiemuś tam Kitchenerowi, który, jako żołnierz, nie może mieć tak wyrobionego zmysłu powonienia, jak przedstawiciele naszej palestry, znani szeroko z szybkiego oryentowania się w sytuacyi.

Zapytywano mnie z kilku stron, czy w związku z owem włoskiem trzęsieniem ziemi stoi zawalenie się trzech sklepów w kamienicy pana Fendlera przy ulicy Bożego Ciała. Na razie nie mogłem się zdobyć na stanowcze orzeczenie, nie będąc z zawodu geologiem, choćby tylko nadzwyczajnym, gdym się przecież rozglądnął dokładnie, przekonałem się, że miejsce katastrofy leży o kilkaset zaledwie kroków od „Wenecyi“, więc powinno być na terytoryum włoskiem, a właśnie ono trzęsieniem ziemi zostało nawiedzone. O związek więc nie trudno.

To przynajmniej dobre, iż wybuch bomby, rzuconej z aeroplanu, jest stanowczo wykluczony, o politycznych powodach zawalenia także mówić nie można, zwłaszcza, że właściciel domu bawi obecnie nad modrym Dunajem, choć wróciłby chętnie do Krakowa, gdyby nie tak trudno było o uzyskanie niebieskiej kartki, pozwalającej na swobodny przejazd w obręb twierdzy krakowskiej.

Proszę jednak nie myśleć, że owa „Wenecya“ krakowska to to samo, co owa, u wylotu ulicy Wolskiej, będąca ongiś fortecą konserwatyzmu i miejscem, w którem powstawały najwspanialsze nekrologi. My mamy i drugą „Wenecyę“ tuż obok starego mostu podgórskiego, ściśle demokratyczną i o niej właśnie wspominam.

A i politycy nasi, ci o szerszym horyzoncie, mają także sposobność mówić o okropności, choć nie wiedzą sami, czy ją zaliczyć do kategoryi wojennych, czy pokojowych. Tematem ich rozhoworów jest niespodziewane ustąpienie austryackiego ministra spraw zagranicznych, hr. Berchtolda i objęcie spadku po nim przez barona Buriana.

Kto kieruje naszą polityką zewnętrzną, im wszystko jedno, zachodzą przecież w głowę, jaki mógłby być powód ustąpienia jednego a powołania drugiego, rzadko się bowiem zdarza, by na tak odpowiedzialnem stanowisku następowała zmiana i to w czasie tak poważnym, jak obecny.

I o to zapytywano mnie z różnych stron. Jednym odpowiadam, że na polityce się nie znam, drugich zaś przekonuję, iż wprawdzie wiem, ale powiedzieć nie mogę, bo to tajemnica urzędowa, o której może wiedzieć tylko kronikarz „*Nowości Illustrowanych*“ i urząd spraw zagranicznych, szersza zaś publiczność nie powinna tam wtykać swego nosa, bo to niezdrowo. Powód w każdym razie jest, bo musi być.

O ile mnie to osobiście dotyczy, to pana Berchtolda bardzo żałuję, znałem się z nim bowiem bardzo dobrze i nieraz nawzajem poddawaliśmy sobie projekty, on mnie do kronik tygodniowych, ja jemu do rozmaitych figlów politycznych. Właśnie te, które świat zapisał na karcie jego sukcesów, powstały pod mym wpływem, z czem on się bynajmniej nie krył, uważając mnie za swego jedynego bezstronnego, a zarazem i bezinteresownego doradcę, nigdy bowiem honoraryum autorskiego odeń nie żądałem, wiedząc, że budżet ministerstwa ledwie dycha.

Żegnam go też ze zbolałem sercem, następcy jego zaś życzę, by wstępował w ślady poprzednika, to jest słuchał mych rad, a źle na tem nie wyjdzie!

A zoryentować się w polityce obecnie bardzo trudno, bo nikt nie może utrafić w sedno, gdzie właściwie leży ten punkt, który stanowi o równowadze. Mamy wojnę we Francyi i Belgii, mamy ją w Alzacyi, w Prusach Wschodnich, Galicyi i Królestwie, na Węgrzech i w Serbii, na Kaukazie, w Egipcie i t. d. Badając mapę, przypomina sobie człowiek mimowoli całą geografię, której tajniki wbijano mu w głowę rożnemi drogami w czasie studyów gimnazyalnych i, powiedzmy prawdę, dziękuje Panu Bogu, że nie potrzebuje się tem zajmować zawodowo, jak taki minister, lecz jedynie z amatorstwa, w braku innego odpowiedniejszego zatrudnienia.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożyła Teklusia z Krakowa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nam to, do czego każdy z nas wzdycha gorąco

— an
i o
ew —
e — a
— ra
o — a
al —
p n
— ko
i — a
nn —
i — a
— ga
k — a
ko —
m — r
— li
o — a
kt —
a — t
— na
a — a
gn —

Zadanie królewskie.

Ułożył Cz. Kozłowski. Warszawa.

pól	czy	ką	wę	mi	ka	zna	tam
też	prze	jem	ścież	dru	kre	gdzie	lecz
czy	gó	ła	je	słony	stój	czy	nek
rą	do	łem	wie	ła	po	być	spo
czy	lą	rza	dzia	by	że	gdzie	ma
dem	mo	mi	a	nie	tam	sta	jem

Gwiazda magiczna.

Ułożył Uciekinier z Krakowa w Nowym Jiczynie.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, które, czytane od wierzchołków do środka, utworzą wyrazy o podanem znaczeniu. Wierzchołkowe litery, czytane w porządku, oznaczonym cyframi, podadzą nazwę boga dawnych Słowian.

8
7 □ □ □ 1
— — —
— — —
6 □ — — □ — — □ 2
— — —
— — —
5 □ □ □ 3
4

Znaczenie wyrazów: 1 Rzeka w Galicyi. 2. Imię żeńskie. 3. Wielka pani. 4. Praca rolnika w polu 5. Wzniesienie. 6. Imię żeńskie. 7 Ptak drapieżny. 8. Ciężar opakowania.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Aba, śnieg, ćma, ciepło, nauka, cud, karoca

Trójkąt magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą imię męskie.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Prorok izraelski. 3 Część świata 4. Przyrząd sportowy. 5. Szlachetny kamień. 6. Część twarzy. 7. Zamek, znany z powieści „Hrabia Monte Christo". 8 Spółgłoska.

Depesza.

Ułożył Sz Kiliński, Kraków.

Z liter depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

R. P. Piotrze! Jest Aron i Kazek.
W. J. Gegner.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Eg! Zuch dzik je kość, materace, sen i maść!

Bilety wizytowe.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób

ANNA ZYTA C. KLERSCAK.
MAREK ŁASZ.
IZAK PIRNER.
BUPSKI.
IZAK PER.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *St. Ostrowskiego:* **Rok klęski.** Powieść z czasów Ks Warszawskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2.

Łamigłówka noworoczna: Osa
Aza
ach
Iza
lęk
ość
Eli
gil
iwa
len
aga
sos
lnn
kos
Ewa
lew
age
rok
era
ton
oko
huk.

Równanie: Sienna + raklets + Wrzwicz = Sienkiewicz.
Pokrzywa + róża + cytryna = Krzyżacy.

Zadanie do przestawienia: Kocioł garnkowi przygania, a sam smoli.

Okienko:

K a k a o
a o r
k o n a k
a a a
o r k a n

Przysłowiówka 1) Sztuką Niemca tłuką. 2) Komu w drogę, temu czas.

Krzyż magiczny:

S E O
k k b
S k a w i n a
E k w a d o r
O b i d o w a
n o w
a r a.

Szarada: Sierpień, sierp, pień.

Szarada: Kołomyja.

Bilety wizytowe: Portoriko. Madagaskar. Nowa Zelandya. Honolulu. Nowa Gwinea.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Kolbuszowa, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Tarnów, D. Sedyńska Krakow, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło. I. Brzostowski Krosno. S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Krosno, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Kolbuszowa, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Rozwadów, J. Krawecki Przemyśl. W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Krosno, J. Łopatkiewicz Jasło, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Krakow, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Tarnów, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S Grodzicki Praga L. Kinalski Praga.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Krawecki, Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

W knajpce.

— Wie pan radca dobrodziej, ilekroć dłużej zabawię u Hawełki, gdzie dyskutujemy nad obecną wojną, na drugi dzień jestem, jak zbity!

— To łaskawy pan musi być chyba żonaty...

Z kuchennych dyalogów.

Kapral: A da mi buzi panna Julcia?

Kucharka: Dlaczego nie?... Ja nie potrafiłabym dziś, w czasie wojny, odmówić żądaniu żadnego dzielnego żołnierza!

I to pociecha...

Pani X. odwiedziła w szpitalu znajomego rannego żołnierza.

W czasie rozmowy z nim wspomina mimochodem:

— Mój mąż chciał pana także odwiedzić, ale nie ma dziś czasu. Bardzo pana przeprasza i obiecuje, że na pogrzeb przyjdzie z pewnością!

Przed sklepem Salomonowej.

Pewna krakowska obywatelka, znana ze swego litościwego serca, przechodząc ulicą Szczepańską, ujrzała pod ajencyą gazet Hopcasa i Salomonowej małego chłopca, zanoszącego się od gwałtownego płaczu.

Zatrzymała się więc i pyta z czułością:

— Dlaczego płaczesz, mój maleńki?

Chłopiec przetarł jednym kułakiem oczy, drugim uwolnił nos od tak zwanej „świeczki" i odparł:

— Bo tatuś kazał mi kupić gazetę!

— A ty biedaku pewnie zgubiłeś pieniądze... — przerwała, wyciągając z kieszeni pugilares.

— Nie! Ja mam pieniądze i gazetę już kupiłem, ale tatuś powiedział, że zerznie mi skórę, jeśli nie będzie wiadomości o nowem zwycięstwie... Ja już gazetę przeczytałem, a tam niema nic!...

I zaczął dalej ryczeć w niebogłosy.

Co kraj, to obyczaj...

Pewien oficer rosyjski, bawiąc w czasie wojny w domu obywatelskim w nieprzyjacielskim kraju, słyszy kilka razy powtórzone słowo „karnawał".

Pyta więc, coby ono miało za znaczenie.

Pan domu, chcąc mu wytłumaczyć delikatnie, powiada:

— Wie pan porucznik! To jest okres czasu, kiedy nawet z najuczciwszą kobietą, pochodzącą z najlepszego towarzystwa, można bez obawy zjeść kolacyę w separatce...

— W takim razie u nas w Rosyi jest karnawał przez rok cały!...

LALKI Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI** W KRAKOWIE **ul. Grodzka 2**

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien **Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego**
Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 331.

WYROBY KRAJOWE

Rok złoż. 1880. **D. Béze** Rok złoż. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

KINO-WANDA

przy ulicy św Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

Nerwowo chorzy mężczyźni
(Neurastenicy)



niech żądają broszury o **natychmiastowym** usunięciu tego zła po nadesłaniu 40 h w markach pocztow. Adres: **„Nowa Mechanika 232“** Fach pocztowy 40, Budapeszt, Główna poczta.

„KRYSZTAŁ“ Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.
Podgórze, Słowackiego 27 — Telefon 3232
POLSKA FABRYKA WARSZAWSKICH CUKRÓW i CZEKOLADY
poleca Warszawskie karmelki pierwszorzędnej jakości wyrabiane syst. **Witolda Sobolewskiego.**
Właściciele fabryki: Wacław Wasilewski i Ska.

Zakłady „Nowości Illustrowanych”

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE
ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479
zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

ADMINISTRACYA

„Nowości Illustrowanych“ odsprzedaje z każdego numeru fotografie i klisze cynkowe, wykonane we własnym

ZAKŁADZIE CYNKOGRAFICZNYM

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.